Ner 24. Kraków, 17go Czerwca. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł. — c. w. a.
Półrocznie .	3 „ —
Kwartalnie .	1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie .	— „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie .	5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie .	2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie .	— „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie .	3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie .	1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie .	5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie .	2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Zobacz r. 1861 Nr. 1, 2, 4, 7, 15, 21, 22 i 42; rok 1862 Nr 4, 13 i 17).

Nieraz panienki zastanawiają się: czyli towarzyszki ich są im równe urodzeniem i bogactwem? i wyrodzi się w młodych umysłach jakaś śmieszna arystokracya. Wielka wina spada na rodziców, jeżeli dzieci sami na tór szkodliwy powiedli, jeżeli nie przestrzegali, by w nich takie arystokratyczne nie zaszczepiły się przesądy. Niedorzeczna duma stworzy im nieprzyjaciół pewnych, częstokroć i na zawsze — na życie całe. Bo zadraśnięcie tą jakąś wyższością, słówkiem pychy, lub spojrzeniem pogardliwem — głębiej zaboli, aniżeli raz zadany ostrzem obosiecznem... i uraza taka rzadko się przebacza, a nie zapomni nigdy. I zkądżeż to? I po cóż to? — Dumę większa jeszcze zranić może duma w owem stopniowaniu towarzyskiem: bo jeżeli szlachcic nie zechce podać ręki mieszczaninowi, to nowy hrabia z góry na szlachcica spojrzy, a potomek dawnych wojewodów odwróci się z zadartą głową od nowego hrabiego.

Do takich arystokratycznych zachcianek łączy się zwykle i śmiesznostka: zastawiania się osobami, postawionemi wyżej... zastawiania się przyjaźnią i zażyłością hrabiów i książąt, choćby i za pomocą kłamstwa. — Do własnej przyznaje się nicości, kto takim oddaje się zachciankom.

Potrzeba dziecko od lat najmłodszych pouczać, by nie oglądało się na jakiś *splendor* domu i rodziny. Pouczyć je: że bez cnoty i zasługi każdy człowiek *zerem* jest w społeczeństwie... jemiołą, chwastem bezużytecznym.

Fryderyk II, nazwany wielkim, wyrzekł: „Szlachectwo bez wiadomości jest czczym tylko tytułem, który nieuka *kompromituje* i poddaje szyderstwu tych, którzy czemś podobnem bawić się lubią.

„Młodsi hrabiowie, gdy nie nauczyli się niczego, są *ignorantami* w każdym kraju. W Anglii syn królewski zostaje majtkiem okrętowym, by tej nauczył się służby. Jeżeli hrabia ma zostać czemsiś, to niepowinien odurzać się tytułem swoim i urodzeniem, bo to są błazeństwa (*Nahrenspossen*) i wszystko zależy od jego *mérite personnel*“ [1]).

Poczucie godności [2]) własnej, niedorzeczną ugodzone dumą, niezatartą zdoła wywołać nienawiść, a często i zemstę.

[1]) Mowa Fryderyka upstrzona jest wyrazami francuskiemi, zachowałam je w przekładzie.

[2]) Poczucie godności własnej, zdolne do nienawiści i zemsty, jest dopiero poczuciem osobistości, mogącej w illiadzie dobrze się przedstawiać; lecz nie w dziejach dopełnianych pod wpływem chrześciaństwa. R.

Pani Arrond opowiada: *J'ai entendu un homme du peuple donc: „Qu' il voudrait disséquer le coeur d'un noble qui l' avait outragé, afin de savoir s' il y avait là quelque signe distructif de la race, qui pût autoriser dans les castes patriciennes, l' arrogance et le dedain.“*

Mała arystokratka zostanie znienawidzoną i ośmieszoną, bo koleżanki wszędzie śmieszności o niej rozpowiadać będą, urażone jej pychą. Przesąd, w młody wrażony umysł, coraz głębsze zapuszcza korzenie i... w przyszłości bardzo gorzkie może spowodować następstwa.

A gdzież miłość bliźniego? W cóż się obróci jedna z głównych zasad ś. nauki Chrystusa?! — Modlicie się, a serca wasze skalane, bo pychą bezrozsądną chcecie brata swojego poniżyć!

Modlitwa! ach modlitwa, wielkie to dobro i... jako balsam gojący, nie jedną łagodzi boleść! Jedyna to pociecha, gdy nas już opuściło wszystko, zwłaszcza też dla kobiety! Kobieta bez religii, bez modlitwy, to jakby istota wykluczona z niebieskiego koła miłości Bożej [1]). Kobieta bez religii na wszelkie zabłądzi bezdroża, a... gdy nic dla niej nie ma świętego, brnie coraz głębiej, i w ostateczną popchnie się przepaść.

Módl się dzieweczko polska! Pacierz niechaj będzie pierwszą myślą twoją, gdy ockniesz się z rana—i z paciorkiem w myśli i na ustach niechaj twoja sklei się powieka. Módl się za rodziców drogich, za siostry i braci, za rodzinę i rodaków! za kraj ukochany! za nieszczęśliwych, którzy z dala do niego tęsknią! za tych wszystkich, którzy płaczą i cierpią! — Westchnij w złej doli i wznieś łzawe oczy z nadzieją i ufnością ku niebu, a dziękczynnie złóż dłonie za dobro otrzymane!

Lecz od *bigoteryi* strzedz dziewczątka należy, bo ta nie jest *pobożnością*, raczej naśladowaniem drugich, udawaniem — modą niestety! *Pobożność* zbuduje drugich, *bigoterya* odstręcza. *Pobożność* przekazały nam wraz z czystością obyczajów prababki nasze — *bigoterya* przyszła z obczyzny, i nawet własnym wyrazem nie umiemy jej nazwać. Prawdziwa *pobożność* daje nam ciepło serca i światło myśli — *bigoterya* zimnem wieje i krępuje wszystko. *Pobożność* w pokorze klęknie i pomodli się cicho a gorąco — *bigoterya* czyni to z pychą. Rzecby można, że przynosi nam na wystawę *dewocyą* swoję, a drugich upokarza rada. *Bigotka* nie chwali Boga i nie miłuje bliźniego — *pobożność* z pogodą czoła do wszelkich gotowa poświęceń.

Matki-Polki! uczcie pobożności dzieweczki wasze; ale strzeżcie je, by nie zostały bigotkami!

[1]) Mężczyzna to samo. P. R.

JADWIGA,

KRÓLOWA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

X.

Te więc były publiczne sprawy naszej królowej, któremi całemu światu dawała poznać swój charakter, w sercach wszystkich cześć obudzając ku sobie. Widzieliśmy ją w tych wszystkich sprawach: dobrą i mądrą — a przytem cichą i rezygnacyjną, nie szemrzącą nigdy na losy a to, aby się wydawać mogła i szczęśliwą: a przecież powiedzieć teraz musimy, że Jadwiga nigdy nią za życia nie była. Owszem przeciwnie: wielka ta, bogobojna i szlachetna królowa była bardzo nieszczęśliwą. Dotkliwe ciosy, jakie ją w ciągu krótkiej wędrówki życia dotykały, były dla niej prawdziwym męczeństwa krzyżem, który ona jednak dźwigała mężnie i cierpliwie, poddając się Bogu i losom przebaczając. Widzieliśmy już Jadwigę cierpiącą z powodu „wyrwania jej z rąk Wilhelma“, widzieliśmy ją bolejącą sieroty uczuciem nad okropną śmiercią swej matki, przyjrzyjmyż się teraz innym jeszcze dolegliwościom, godzącym w jej pełne miłości serce, zatruwającym goryczą jej ciszę domowego życia: przyjrzyjmy się zbliska smutnemu sercu tej wielkiej królowej, a przekonamy się, że nigdy na jego niebie stała nie świeciła pogoda.

W pożyciu małżeńskiem z Jagiełłą była Jadwiga, jako niewiasta po Bogu wychowana, najwierniejszą i najlepszą. Bo chociaż do związku tego nie skłoniła ją gorąca miłość dla męża, skoro tylko nań *poświęceniem* zezwoliła, umiała święcie dotrzymać wszystkich zobowiązań, które w obec Boga! przed jego sługą zaprzysięgła. Znający z dotychczasowej naszej charakterystyki, serce tej błogosławionej niewiasty, nie mogą sobie inaczej „wierności małżeńskiej“ Jadwigi tłómaczyć, jak tylko wiarą i przekonaniem o jej najpiękniejszych cnotach i najlepszych uczuciach. Inaczej jednakże przystąpił niesprawiedliwy los, on fałszywemi oszczerstwy, niegodziwców spółczesnych, oczerniał dobrą Jadwigę. Fakt, który teraz przytoczę, najlepiej nas o niesprawiedliwości losu przekona.

Znany nam z dawniejszych rozdziałów tego opowiadania Gniewosz z Dalewic, mniemany przyjaciel i poufnik Jadwigi, posiadający też dlatego wszystkie najskrytsze jej serca tajemnice, ów Gniewosz, który to niegdyś stał na czele panów polskich towarzyszących Wilhelmowi w podróży jego do Krakowa, — ów więc Gniewosz, jak wprzódy tak zaciekle bronił sprawy Rakuzanina, tak teraz dla własnych zysków podejmuje się najnikczemniejszej roli „oszusta i oszczercy“, obłudnem pochlebstwem wkupując się w łaski „łatwowiernego i podejrzliwego Jagiełły.“ Do odegrania dobrego tej roli potrzeba było temu nikczemnikowi być jeszcze i nadal „pozornym“ przyjacielem i pochlebcą Jadwigi: i rzeczywiście, dobra królowa ciągle go swojem obdarzała zaufaniem.

Gdy więc ten niegodziwy Gniewosz widział już dobrze, że sprawa Wilhelma upadła, dla napełnienia kieszeni swojej łatwemi intraty, uchwycił się strony Jagiełły, podejmując się służyć mu w charakterze fałszywego szpiega wszystkich czynności i zamiarów Jadwigi. Umiał bowiem ten niegodziwiec wpoić w króla tem „nie dobrą podejrzliwość i obawę“ że Jadwiga, nie za popędem serca oddawszy mu swą rękę, „powinna być pilnie strzeżoną i bacznie we wszystkich czynnościach szpiegowaną.“ Podejrzliwy z natury Jagiełło uwierzył nikczemnej namowie oszusta, i hojnie nagradzał mu jego „czujność i uwagę w szpiegowaniu“ Jadwigi. Gdy Gniewosz, nie mógł nigdy w świętem życiu królowej, nic takiego dopatrzeć, coby podejrzliwości króla odpowiadała, musiał jak każdy „sumienny“ jurgieltnik, nie chcący „za darmo“ pobierać pieniędzy od pana, stworzyć sam jaką niegodziwą plotkę, aby nią na tem hojniejszą zasłużyć sobie nagrodę. Przebiegły jednak oszust, chwycił się jeszcze prócz tego i tego fałszywego środka, że zamierzając oczernić królowę, trwał ciągle niby to w przyjaźni dla niej, myśląc nawzajem dla utrzymania tej korzystnej intratki przed nią okłamywać zdradziecko króla. Taki nikczemny ułożywszy sobie planik, zabrał się wielki oszust do dzieła.

Szatańskiego natchnienia robota zawsze się powodzi z początku. Tak też i Gniewoszowi nie źle się wiodła intryga, a rzucone między najszlachetniejsze serca ziarno niezgody, wkrótce pożądane dla zdrajcy wydało owoce. Spokój domowy zakłócony burzyć zaczynał to szczęście, które dotąd na chwałę Boga kwitło. Jagiełło, w podejrzliwości ku żonie rosnąc, widział... jakby na potwierdzenie oszczerstw Gniewosza, zagniewane oblicze Jadwigi ufającej słowom „dawnego swego przyjaciela.“ Niesnaski te z początku maleńkie, a z czasem coraz większe, tak się „między królem a królową dalece żarzyły, że też jawnych rozsterków pożarem już by były pałały, by ich był w czas poważny senat nie zgasił.“ Gdy bowiem poważnienie małżeńskie w widoczny gniew obojej strony urosło, „uradzono zgoła, aby pletliwe zauszniki obiedwie stronie wydały.“ „W tym celu — pisze Szajnocha, zaniesiono prośbę małżonkom, aby równie Jagiełło jak i Jadwiga wyznali sobie nawzajem, kto właściwie rozsiewa kąkol pomiędzy nimi? Oboje królestwo przychylali się do żądania. Wtedy ku niemałemu zdziwieniu dworu wyszło z ust króla i królowej jedno i toż samo nazwisko: Gniewosz z Dalewic.“ Poznawszy przeto obie strony jedno źródło całej niezgody i gniewu, natychmiast domyśliły się oszczerstwa. Pokazało się bowiem, iż okłamujący przed Jadwigą Jagiełłę, nikczemny oszust Gniewosz „świątobliwego życia panią, królową Jadwigę, pokątnie przed królem uczciwe jej sromocąc, zelżywie był okłamał: udając jakoby w niebytności królewskiej Wilhelm książę rakuskie niewiadomie do Krakowa zjechawszy, przebrany za kupca nawiedzał zamek, i że królowa widywała się z nim.“ Pokazało się przeto, iż słusznym był gniew obojej strony, i że całej sprawy winowajcą był Gniewosz. O! jakże okropnie zabolało „bogobojną i świątobliwą panią“ takie oszczerstwo! Jakże podłym i nikczemnym ukazał się jej oczom ten człowiek, który ją taką potwarzą znieważył, a któremu ona tak dobrodusznie ufała! Uspokojona jednakże, prędkiem przebaczeniem króla, który także nie mało swego zaufania łotrowi żałował, zapomniała od razu wszystkich uraz i przykrości, któremi ją mąż niesprawiedliwie dotykał, a cały swój gniew i żal do zdrajcy w pogardę szlachetną zamieniła;—pragnąc jednakże przekonać oszczercę o fałszu sprawiedliwy senat, przychylając się do życzenia królowej, postanowił ukarać potwarcę. Zwyczajem i przepisami statutów wiślickich zawezwano natychmiast Gniewosza z Dalewic przed sąd, i całe z nim postępowanie, które tu opiszemy, wedle tychże statutów się odbyło.

„Królowa Jadwiga zapozwała Gniewosza o potwarz czci niewieściej, przewidzianą osobnym paragrafem statutu. Wyznaczono obżałowanemu „rok“ sądowy w Wiślicy. Zebrał się tam w oznaczonym terminie cały trybunał sędziów, podsędków, panów assesorów i komor-

ników sądowych. Wiadomy paragraf statutu uchylał osobiste stawanie niewiast przed sądem, pozwalając im wybrać sobie pełnomocnego zastępcę. Królowa wybrała takim kasztelana wojnickiego Jaśka z Tenczyna. Jadwiga musiała złożyć przed nim przysięgę, jako rzeczywiście nie miała w życiu stosunku z nikim innym, jak tylko z królem Jagiełłą. Za tą przysięgą wykonali za niewinność królowej taką samą przysięgę król i najznakomitsi panowie dworu. Naczelniczący zwycięzkiej sprawie stary pan kasztelan Tęczyński, stanął pełen otuchy z świadkami w „wieńcu sędziów zebranych“ w obliczu zapozwanego. Głosem potężnym zaskarżył przytomnego Gniewosza: „jako nikczemnym umysłem i kłamliwemi usty zelżył przed królem jegomością niepokalaną niewinność jego małżonki. Skoro sędziowie zażądają, będą złożone dowody ku oczyszczeniu sławy królowej. On zaś jej rzecznik, domaga się nawzajem, aby złośliwy donosiciel został zmuszony do odwołania.“

Gniewosz upadł na duchu. Daremnie wzywali go sędziowie po kilka kroć do przemówienia. Drżące przestrachem wargi, stłumiony ku ziemi wzrok, odpowiadały niemą prośbą o łaskę. Nie mogąc nic wydobyć z winowajcy, przystąpił trybunał do wyroku. Uznano obżałowanego winnym potwarzy czci niewieściej. Wyznaczono karę statutem przepisaną, a tą była: główszczyzna 60 grzywien i rewokacya, zakończona formułą: „zełgałem jako pies.“ Królowa Jadwiga została uznana i ogłoszona czystą, niewinną i wolną od wszelkich podejrzeń. „Przepadły“ zaś w sądzie Gniewosz, musiał natychmiast zadość uczynić wyrokowi. Zgiął się „szkaradnik“ (jak statut prawi) we dwoje, wlazł pod ławę sądową, i ozwał się ztamtąd w głos, że wszystko, co o królowej prawił przed królem, było fałszem wierutnym. Po przepisanych statutem słowach „skłamałem jako pies“ kazano mu naprawdę zaszczekać kilka razy, i Gniewosz zaszczekał z pod ławy.“

Wszelką więc wymierzono sprawiedliwość, ówczesnym ustawom właściwą, lubo ona była zbyt łagodną, gdyż naszem zdaniem potwarz Gniewosza świątobliwej wyrządzona Jadwidze, na coś więcej, niżli na zwykłe „gardło“ zasługiwała. Lecz zarzut ten odnoszący się tylko do łagodności ustaw, świadczącej bardzo korzystnie o charakterze narodu, dla którego były pisane, nie odnosi się bynajmniej do ówczesnych sędziów tej sprawy, którym też wcale nie chcemy żadnej wyrządzać krzywdy.

Przywrócony w ten sposób spokój w domowem pożyciu Jadwigi z Jagiełłą, nie był już odtąd żadną zakłócony waśnią ni intrygą. Bo „miłość wzajemna, jak pisze Kromer, zbywszy podejrzenia wszelkiego, znowu między królem a królową rozkrzewiona kwitnęła.“

Mimo tej miłości i zgody i wzajemnej małżeńskiej harmonii, nie miała jednakże Jadwiga prawdziwego szczęścia, bo jej Bóg odmówił rzeczywistej rozkoszy „małżonki“ — odmówił jej potomstwa. Nie szemrząc jednakże na nieodgadnione wyroki boskie, nie ustawała bogobojna królowa w gorącej czci i szczerem nabożeństwie ku Stwórcy. Owszem, wszyscy dziejopisarze, nazywając ją już „świętą za życia,“ szeroce się rozpisują o jej dziwnem upodobaniu w zabawie duchowej.

(Dok. nast.)

PIEŚNI SERBSKIE.

Przekład

Stanisławy K..........

Opis serbskiej piękności.

Z Smeredowa, dziewczę hoże,
Pokaż mi twoje oblicze!

Młodzieńcze, szczęścia ci życzę!
Byłeś na jarmarku może?
Widziałeś tam na ulicy
Biały papier u handlarzy?
Patrz, taka białość mej twarzy.
Czy byłeś kiedy w winnicy,
Widziałeś czerwone wino?
Oto, patrzaj chłopcze młody,
Takie są moje jagody.
Czyś jechał leśną dróżyną,
Widziałeś pomiędzy śniegiem
Czarne tarnki na uboczy?
Patrz, takie są moje oczy.
Czyś szedł kiedy morskim brzegiem,
Widziałeś pijawek roje?
Patrz, jak pijawki, brwi moje.

Dwa Słowiki.

Noc, w noc, spiewali słowicy,
Pod oknem oblubienicy,
A — przez okno wychylona —
Pytała ich narzeczona:
Czyliście bracia rodzeni,
Czy w rodzinie spokrewnieni?
Powiedzcie mi, dwaj spiewacy!
Na to odrzekli jej ptacy:
Aniśmy bracia rodzeni,
Ni w rodzinie spokrewnieni,
Lecz.... dwaj przyjaciele z gaju,
Z nad srebrzystego ruczaju;
Był i trzeci ulubiony;
Lecz ten już dla nas stracony,
Gdyż słyszymy, że się żeni;
Przychodzim, wśród nocnych cieni,
Ujrzeć jego narzeczoną,
Oddać jej złote wrzeciono,
Egipski len na prześlicy —
I... spiewać oblubienicy.

PORÓWNANIE.

Lata sokół w Sarajewie,
Szuka cienia do ochłody,

Znalazł jodłę... i... przy drzewie
Czyste źródło świeżej wody,
A przy niem hiacynt: wdowę,
I wonną różę: dziewicę.
Długo sobie łamał głowę,
Czy całować wdowy lice,
Czy dziewicze róży kwiecie?
W tę i ową myśli stronę;
Ale w końcu wyrzekł przecie:
Złoto droższe, choć znoszone,
Niśli srebro całkiem nowe;
I całował młodą wdowę.
Na to dziewa, kwiatek róży,
Zagniewana tak mówiła:
Sarajewo! w nieszczęść burzy,
By cię niedola dręczyła,
Za twój niecny zwyczaj nowy,
Że młodzieńcy wdowie lice
Całują — kochają wdowy,
A starcy.... piękne dziewice!

Pierwej Córki.

(Obrazek wiernie zdjęty z natury)

(Ciąg dalszy).

Pan Żegota przybiegł do ojca i dostał wielką burę za to, że tak długo pozwolił na siebie czekać.

— O ho! mój bratku! tyś sobie, widzę, za nadto wolno przetłómaczył grzeczność IMCiPana Feliksa, co do zrywania kwiatków. A zkądże to wasze, może także z krzaków, pozrywałeś te kamelię? — mówił pan Gocki, oglądający piękny bukiet pana Żegoty.

— Te dostałem — odrzekł trwożliwym głosem Żegota, blednący, jak student, co lekcyi nie umie.

— Dostałeś? Hę, hę? A od kogóż wasze dostałeś? Możnaby wiedzieć? czy nie?

— Dostałem od pani Sędzimirskiej...

— Od kogo?! — zawołał z wielkim gniewem pan Gocki — Wasze może zapomniałeś!...

Żegcio chciał go pocałować w rękę; ojciec mu ją odsunął na bok.

— Przechodziłem przez aleę i... nie wiedziałem, że spotkam. Zaczepiony zapytaniem musiałem odpowiedzieć. Ofiarowała mi później tych pięknych kilka kwiatów, musiałem przyjąć.

— Jak po maśle asan się tłómaczy. Wszystko jasno jak na dłoni. Jeno ojca zakaz i boskie przykazanie gdzieś pod stołem, w kącie.... To wasze, nie mogłeś powiedzieć, że ci się spieszy, że ojciec czeka?... I tupał pan Gocki i.... gniewał się srodze.

Żegciowi żal było rozgniewanego ojca, zbliżył się do niego i na kolanach o przebaczenie prosił, zaklinał.

Pan Gocki był bardzo zagniewanym, i nie wiem kiedyby się był udobruchał, gdyby nie pan Feliks, który najlepiej umiał do jego przekonania przemawiać. Za jego też pośrednictwem przyszło nareszcie do zgody, przy zawarciu której Żegota najuroczystszą wykonać musiał przysięgę, że nigdy pani Sędzimirskiej szukać nie będzie, ani w razie przypadku lub okoliczności nie da się nigdy obałamucić jej słowami do dłuższej z nią rozmowy, a tem mniej do odwiedzin jej dworu. Żegciowi nie była ta przysięga na rękę. Wiedział on, że pani Sędzimirska była matką tej pięknej, której imienia jeszcze nie znał, i żal mu było wyrzekać się jej znajomości. Przysięgi tej dotrzymał jednak, dotrzymał wiernie. Należy nam jeszcze tu wspomnieć dla czego tak usilnie nastawał na tę przysięgę pan Gocki. Przyczyna była bardzo jasna. Pan Gocki był to człowiek surowy jak żelazo, i dla tego niezłomny i niezgięty. Miłość, lub szlachetne jakie uczucie było dla niego tak świętem jak ołtarz, lub sakrament, który wszystko na wieki zatwierdza. Pani Sędzimirskiej nie cierpiał, bo ona wnet po ślubie swego męża zbezcześciła, jak się wyrażał, jego popioły, rychłem opamiętaniem się we wdowieństwie i zabałamuceniem się w jakimś tam filozoficznym gachu. Nikt mu tej nienawiści jego nie wybił z serca, i nikt nie zamierzał wybijać, bo wiedział, że to by było napróżno. Znając Żegotę, jako młodego i nieszpetnego chłopaka, łatwo mógł przypuszczać, że gdyby go pani Sędzimirska poznała, toby go może i ku sobie przynęciła... a ta myśl piorunem uderzała w jego serce.

— Ś. p. Sędzimirski, to mój naczelnik panie!.... a mój syn taki smarkacz, miałby jego popiołom ubliżyć niedorzecznem zabałamuceniem się w jego żonie!.... Nie!... pókim żyw, na to nie zezwolę. Po mojej śmierci... niech sobie robi co chce, jeśli mu o mój spokój w grobie nie chodzi. Ale teraz — wara!...

I dla tego wymógł na Żegciu przysięgę. Była to zasada nader prawego charakteru i niezłomnej sumienności i czystości duszy.

Jednak... człek strzela — a Pan Bóg kule nosi. Nie przyszło do żadnej zbrodni, przewidywanej przez pana Gockiego, ale jego postanowienia poszły w niwecz. On jednak pewniuteńki był aż do tego czasu, w którym widzieliśmy go znowu tak strasznie gniewającego się na Żegcia, że się gdzieś dłużej zabawiał, pewniuteńki był, że wierny uczynionej mu przysiędze, syn jego nie widział się ani razu z panią Sędzimirską, ani jej wiedzieć nigdy nie zapragnął.

Gdy po długiem oczekiwaniu i po skończonej dykteryjce o Brygidzie ujrzał wchodzącego Żegotę do komnaty swego towarzysza, ochłonąwszy trochę z pierwszego gniewu zapytał się tylko spokojnie: gdzieby chodził... uspokoił się, pożegnał się z panem Feliksem, siadł na bryczkę i pojechał do Otrówka.

Pan Feliks zaś udał się zaraz do pani Sędzimirskiej, dokąd też i my za nim pójść się ośmielimy, aby się już stanowczo o wszystkich niejasnościach tej powiastki dowiedzieć, i po tem prostą wydarzeń drogą prowadzić ją do końca.

III.

Pan Feliks z wielkiem zadziwieniem swojem zastał bratową w towarzystwie wesoło usposobionych córek.

— Co się stało?! — zawołał, taką zmianą rzeczy uszczęśliwiony stryjaszek Zosi. Przecie pani siostra pozwala się zabawiać towarzystwu swoich miłych dziatek.

Wszyscy zwrócili oczy na wchodzącego, za którym też zaraz ukazała się i bona z kopiastym talerzem świeżo w lesie uzbieranych poziomek.

Rzeczywiście niezwykłe usposobienie panowało w pokoju pani Sędzimirskiej. Niezwykłe szczególniej dla tych, którzy znali dotychczasowe jej usposobienie, którzy wiedzieli, że ta kobieta dotąd jeszcze nie chciała zrozumieć swego stanowiska *matki*, i nie tęskniła do swych dzieci, choć ich i miesiąc cały nie widziała. Teraz, otoczona swemi córeczkami, pieści się z ładną Zosią, i mile się do niej uśmiecha. Wdzięczna, nieposiadająca się

z radości córka, całuje rączki swej zmienionej mamci, i klęczy u nóg jej z całą wiarą pozyskanego nareszcie, a tak dawno upragnionego szczęścia. Pan Feliks, gdy to zobaczył, zdziwił się wielce. Słowa jednakże, przezeń w tem zadziwieniu wyrzeczone, były jak gdyby niespodzianie wiatrem nadniesioną chmurką, która pogodne niebo marzeń zaciemniła w tej chwili. Wypisała się ta chmurka szczególniej na białem czole pani Karoliny, które się zmarszczyło gniewnie, i w jej błyszczących życiem oczach, które nie mogły już swobodnie na ludzi poglądać.

Pani Karolina tak nagłą zmianą wyrazu swej twarzy zdradziła jakąś tajemnicę, którą przed dziećmi swemi ukrywała, a która niezawodnie była tylko dalszym skutkiem tego nieszczęśliwego stanu jej duszy, w jakim'eśmy ją z początku zaraz widzieli. Zmieniona wejściem pana Feliksa powstała z kanapy, i odsunąwszy zwykłą manierą swoje aniołki od siebie, zaczęła się przechadzać po pokoju, przeglądając od niechcenia porozrzucane w nieładzie książki. Pan Feliks przejrzał jej duszę od razu, domyślił się czegoś i... jeżeli wszystkiego nie zgadł w tej chwili, był na drodze, po której miał dójść do kłębka. Zosia zasmucona przystąpiła ku oknu, i spoglądała pięknemi swemi oczkami po niebie, czytając niejako w tej wielkiej przeznaczenia księdze jakieś niezrozumiałe i ciemne wyrazy, w których jednakże instynktem prawie czegoś bolesnego się domyślała. Pan Feliks zbliżył się do pani Karoliny. Bona poziomki ustawiła na stole.

— Cóż pani siostro? Czy moja osoba wprawiła cię w tak smutne usposobienie, zmieniając tak prędko wszystkich was humor wesoły. Czy może tu jestem nie potrzebny?

— Panie bracie! — mówiła z udanym spokojem jego bratowa — wiesz, jak zmiennem jest usposobienie moje. Słabość to nie do wyleczenia. Nie bierz rzeczy tak uprzedzenie.

— Wiem jednakże — mówił Feliks — że z wejściem mojem znikła z waszych czół wesołość i swoboda, z którą was pierwszy raz w tak pięknym wianku widziałem.

— Zdaje wam się panie bracie — odpowiedziała z pewnym grymasem gospodyni. — Zeszłyśmy się razem na przechadzce, i powróciłyśmy do domu razem. W tem nic tak dziwnego.

— O! nic dziwnego. Wszakże matka z dziećmi zawsze być powinna razem. Ale tu...

Pani Sędzimirska zrobiła giest niezadowolenia.

— Ot zebrałyśmy z mamcią tyle pięknych poziomek, szczebiotała trzpiotnica Femcia — a jak nam było pięknie w lasku. Niech się stryjcio popyta bonusi, jak się delektowała naszym pięknym polskim lasem!

— Panie byłyście w lasku? — rzekł coś sobie przypomnający Feliks — a czy też nie widziałyście tam jakiego młodego kawalera, który zabłądził i ojca niecierpliwego na siebie czekać przymusił.

Pani Sędzimirska i Zosia zwróciły się bardzo wyraźnie na te słowa do pana Feliksa tak, że z tego ich ruchu każdy, choćby nie studyował Lawatera, poznałby niezawodnie to wszystko czego się potrochu domyślił...

— A był z nami też pan Żegota, co tak ładnie deklamuje... — mówiła Femcia.

— Panie go znają? — zapytał się niby z wielkiem zadziwieniem stryjaszek.

— Na przechadzkach wiejskich często poznaje się ludzi, których się nie zna nazwiska; — rzekła pani Sędzimirska.

Zosia wzrokiem wdzięczności spojrzała na matkę.

— To miły chłopak — mówił siadając pan Feliks.

— Widziałam go dzisiaj dopiero raz drugi. Sądzi nie mogę stanowczo. Zdaje mi się jednak, że wcale dorzeczny i rozsądny.

— Piękne historyjki opowiada — mówiła Femcia.

— Umie zabawić — dodała bona.

— Lubi kwiaty — wtrącił stryjaszek. Ale to wtrącenie się jego wywołało rumieniec na twarzy pani Sędzimirskiej, którego jednak Zosia, uszczęśliwiona pochwałami Żegoty, nie dostrzegła wcale.

— A to dziwna i razem szczęśliwa bardzo rzecz, żeście się państwo tak zeszli u jednego celu przechadzki.

— *Są ludzie, u których każde słowo i uczynek wynika z poprzedniego wyrachowania, tacy mogą nie domyślać się tego, co u drugich samym tylko dzieje się przypadkiem.* — Powiedziała pani Karolina, chcąc panu bratu dać przez to do zrozumienia, że nie potrzebnie nad tą przechadzką tak głęboko się zastanawia.

— O wiem o tem, wiem jak najdokładniej. Nie liczę się jednakże do owych wyrachowanych ludzi, jak o tem i dzisiejsza poświadczyć może wizyta.

Pani Karolina zgniewała się, powstawszy po raz drugi, zaczęła się przechodzić po pokoju, a piękna Zosia chciała jeszcze z nią coś w zaufaniu pomówić... ofukła ją jak zwyczajnie, tak że biedne dziewczę nie wiedziało co ma ze sobą robić.

Poziomki przez bonę rozdane zaczęły panienki zajadać, a pani Karolina, nie mówiąc nic nikomu, wyszła ze swego pokoju i nie powracała wcale. Pan Feliks pokiwał głową, szepnął coś do ucha Zosience, z czego się dziewczynka ukrasiła rumieńcem, i wyszedł także, a pozostałe panny wraz z boną, udały się wkrótce do swego pomieszkania.

My musimy tu znowu w nasze opowiadanie wtrącić nawiasem objaśnienie, konieczne do dalszego toku wydarzeń i dotyczące się pana Żegoty.

Od ostatniej przysięgi wykonanej uroczyście przed ojcem, pan Żegota miesiąc cały ni razu nie był w ogrodzie trzyżowskim. Było to wielką dla niego przykrością, bo ślicznej Zosi oczęta głęboko w jego duszę zajrzały. O pani Sędzimirskiej nie pomyślał ani razu, Zosia tylko była najdroższym przedmiotem jego marzeń, za nią tęsknił, i jeśliby nareszcie w zachowaniu przysięgi miał upaść kiedy, to pewno upadłby dla niej i przez nią. Do takiego upadku był nawet bardzo skorym. Z ojcem, wiedział że trudna sprawa. Jego perswazya i prośby nie znaczyłyby w tym względzie nic, lub bardzo mało; trzeba się więc było chwycić prostszego i pewniejszego środka, a tym było złamanie przysięgi i wynalezienie pięknych oczek Zosiuni. Z takiem postanowieniem wsiadł razu pewnego pan Żegota na wózek wiozący jego ojca do Trzyżowa, i w duchu pomyślił: „Dobrze by to było, żeby się bez łamania przysięgi obeszło, ale... bądź jak bądź, ja muszę dzisiaj widzieć moją śliczną Zosieńkę.“ (Zakochani zwią swe kochanki swemi własnościami, a o ich imionach dowiadują się z gwiazd na niebie w nocach księżycowych). Los mu sprzyjał. Przysięgi nie złamał, ze Zosią się widział. Zosia poszła na wieś do jakiejś chorej wieśniaczki w odwiedziny z lekarstwem. Piękna scena spotkania przy tak dobroczynnem dziele. Żegota miał przeczucie. Zaledwie przywitał się z panem Feliksem, wybiegł zaraz na wieś. Na to zezwolił ojciec. W kilka minut nastało spotkanie. Przywitanie, jako pożądane i oczekiwane z obydwóch stron było krótkie, i jak gdyby nigdy nic. Że się oboje poznali, o tem będą czytelniczki wiedziały lepiej odemnie. A co zaraz z początku mówili ze sobą, łatwo zgadnąć, wiedząc gdzie się znajdowali. Byli na wsi, więc mówili o stanie włościan, ich znaczeniu w społeczeństwie, o środkach zapomogi w niedostatku, o całej nadziei wie-

śniaka w ziarnku rzuconem na rolę, o urodzajach, o niebie, o pogodzie, o burzy, piorunach — wreszcie, wreszcie o chorobach w ogólności, a w szczególności o gorączce niejakiej Marcinowej, do której Zosiunia spieszyła z wizytą... W końcu przed samym progiem domu Marcinowej niewiedzieć zkąd padła rozmowa na ogród trzyżowski, na kwiatki i na stósunek pamięci do rzeczy mogącej na nią zasłużyć. Zapewne panie wiedzą doskonale, że w takiej rozmowie styl ucinkowy jest najwłaściwszy. Okresy długie nudzą zakochanych. Najmilszy, najpożądańszy dla takich osób okres składa się z jednego tylko słowa... Tego słowa nie wymówił jeszcze ani p. Żegota ani p. Zofia, ale... oboje słyszeli je w głębi duszy swojej, oboje czuli je w sobie, oboje pragnęli je wymówić. Skoro Zosia wyszła od Marcinowej, pan Żegota niewiedzieć zkąd znalazł się znowu przy niej i do samego niemal dworu odprowadził. W ogrodzie nie był... Ale to, co usłyszał od Zosiuni, tak było dla niego świętem i drogiem, że przysiągł sobie na drugi raz złamać przysięgę. I dotrzymał. Był w Trzyżowie. Był w ogrodzie. Panny Sędzimirskie także były. Bawili się doskonale, lecz o tem nikt prócz bony nie wiedział.... Wizyty w ogródku stawały się coraz częstsze.... aż pewnego razu przeniosły się na inną scenę działania.

Pani Sędzimirska, któraśmy przed ostatnią sceną przy poziomkach widzieli zadąsaną na Zosię o to, że jej przeszkodziła w marzeniu za nieznajomym młodzieńcem, bo ani jego nazwiska nie zapamiętała, ani o miejscu zamieszkania nie wiedziała, dziwną przeszła w usposobieniu swojem kryzys, o której tu pokrótce musimy napomknąć. Znudzona i niczem nie mogąca się zająć ni rozerwać, najnieszczęśliwszego nabierała usposobienia, w którem sama siebie nienawidzić poczynała. Bolesne skutki złego wychowania stawały się codzień widoczniejsze. Nie rozwinięte uczucia jej serca spały snem podobnym do śmierci. Miłość matki nie mogła ich rozbudzić i rozwinąć, bo jej pani Sędzimirska nie znała. Dusza jej, w największą pogrązona apatyą, nie ożywiała jej niczem wyższem, niczem szlachetniejszem; żadnego pragnienia ni dążności za czemś nie czuła nigdy. Życie takie, podobne do wegetacyi roślinnej, do takiej ostateczności znudzenia doprowadzić zdoła, że człowiek stanie się w niem na wszystko tak obojętnym i niemym, jak owa niema roślina niezdolna oprzeć się ciosowi zadającemu jej śmierć i zniszczenie. Pani Sędzimirska, w takiem usposobieniu zostająca, o całej swojej przeszłości zapomniała. Nie były dla niej świętemi pamięć męża, pamięć Zemona, wzgląd na dzieci, lub cośkolwiek bądź innego, ani świętą nie była jej tembardziej nadzieja przyszłości, dla której przeznaczamy naszą teraźniejszość, naszą niedolę, nasz krzyż i dolegliwości życia. Taką była pani Sędzimirska, gdy pana Żegotę ujrzała; jego widok zrobił w jej usposobieniu wielką zmianę. Nie możemy tu powiedzieć, żeby się matka pięknej Zosi *zakochała*, i to zakochała romantyczno-sentymentalnie w młodym nieznajomym z Otrówka. Nie, do tego nie była ona już zdolną; ale utrzymujemy za pewne, że zajęcie się jej chwilowe, jego wdzięczną powierzchownością w dalszym ciągu rozpoznawania jego duszy przymiotów, mogło było odtworzyć w niej na nowo straconą oddawna treść życia, mogło naprowadzić na refleksyą i zabić tę dawną nieznośną jej apatyę. Chociaż jednak wszystko to mogło się stać pod pewnemi warunkami z panią Sędzimirską, bo pan Żegota ze swoim szlachetnym charakterem mógł był zostać dla niej aniołem opiekuńczym, z moralnej niskości ją dźwigającym, chociaż może nawet blisko już było do tego, inaczej jednak pokierowało przeznaczenie drogę nawrócić się mającej matki, wyższą i cenniejszą zapewniając jej zasługę. Wrażenie, którego w ogrodzie trzyżowskim doznała pani Sędzimirska, nie było tak silnem, żeby miało być wiecznie trwałem. Marzenie, którem już tak dawno dusza jej nie umiała się zachwycać, odżyło w niej na chwilę tylko, bo nie na pewnej podstawie było ugruntowane. Chwila jego istnienia przebrzmiała. Pani Sędzimirska marzyła o panu Żegocie dzień jeden; po tem zaczęła sobie perswadować, że to jakieś dziwaczne zajęcie się człowiekiem zupełnie nieznajomym, a potem... potem zapomniała zupełnie o nim, i do dawnego stanu swej obojętności powróciła. W niej zostawała znów długo, i to właśnie przez cały czas swej niepamięci o dzieciach, z któremi pan Żegota coraz bliższą zabierał znajomość.

Zapowiedziana jednak jej usposobienia kryzys zbliżała się co chwila. Zosia bowiem, najstarsza jej córeczka, nie mogła się obejść bez jej serca, i bez jej rady; musiała więc o oboje starać się koniecznie u swej mamci, narażając się, choćby na niewiedzieć jakie ferwory, gniewy i niełaski. Pan Żegota widywał się z nią bardzo często — uczucia ich, wzajemnie nagradzające się hojnie, nie mogły już dłużej zostawać w tajemnicy, i on i ona zapragnęli pochwalić się swem szczęściem przed ludźmi; rzecz trzeba było rozpocząć od matki. Stosunek pani Sędzimirskiej do jej córek znany jest naszym czytelniczkom; łatwo więc sobie mogą wyobrazić tę trudność i niepokój z jakim Zosia gotowała się do zrobienia swych wyznań przed matką. Przystępowała ona do tego aktu z całą rezygnacyą, której dodawały jej: cześć i posłuszeństwo, należące się każdej matce od dzieci. Była to bardzo ważna chwila, w której piękna Zosia zamierzyła otworzyć całe serce swoje przed matką. Pani Sędzimirska już znowu teraz jak przedtem obojętna siedziała sobie w swym pokoiku, z którego okna wychodziły na ogród. Było to wieczorem. Zosia dzień cały przygotowywała się modlitwą do swych konfesyj. Chwila stanowcza nadeszła. Zosia odważyła się wejść do pokoju matki. Pani Sędzimirska spojrzała na wchodzącą jak zwykle, obojętnie, z zakłopotania jednak dzieweczki domyślała się czegoś ważnego. Zosia, zamknąwszy drzwi za sobą, pobiegła ku matce wzruszona, i rzuciła się jej do nóg. Pani Sędzimirska zdziwiła się tą sceną wielce; nieznane jej dotąd uczucie wstrząsło jej sercem; niecierpliwie czekała rozwiązania tej zagadki.

— Matko moja! — zawołała wzruszonym głosem Zosiunia, klęcząca u nóg pani Sędzimirskiej — matko moja, pozwól raz jeden w życiu przemówić córce twojej do siebie, tak jako do matki.

Pani Sędzimirska nie umiała na to nic odpowiedzieć. Położenia swego, nieprzewidzianą sceną wywołanego, nierozumiejąc, patrzyła się w zachodzące łzami oczy swej córki.

— Matko! ty nigdy dzieci twoich kochać nie będziesz? wyrzekła potem coraz bardziej podniesionym głosem— i nigdy nie pozwolisz im kochać siebie serdecznie?

Pani Sędzimirska i na to zapytanie odpowiedzieć nie umiała.

Zosia zapłakała gorzko. Klęcząca u nóg milczącej matki, zamilkła także. I była to chwila uroczystego milczenia, która w duszy pani Sędzimirskiej przygłuszone i uspione budziła sumienie. Kryzys jej usposobienia miała się odbyć teraz. Ochłonąwszy cokolwiek, ale nie uwolniwszy się wcale zupełnie od nieznanego dotąd wrażenia, klęczącą córkę podnosząc:

— Ziosiu! co ci się stało? Czegóż ty żądasz odemnie?

W słowach tych przebijała się już ta droga sercu dzieci słodycz, której Zosiunia bardzo długo naprożno

wyczekiwała po matce. Słodycz ta przemówiła od razu do serca zapłakanej dzieweczki. Matka mówiła dalej:

— Zosiu! zastraszasz mię twoją mową. Obawiam się, czy ci jakie nie grozi niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo, matko moja najdroższa—wołała ze łkaniem Zosia — niebezpieczeństwo wielkie i straszne, którego możnaby i nie przeżyć!

— Jakto? — krzyknęła rzeczywiście zatrwożona matka. Czemuż mi o niem wprzódy nie wspomniałaś?

— Wspominałam mamciu kochana, już wprzódy wspominałam często bardzo; każdem wspominałam spojrzeniem mojem na ciebie, każdą łzą, która nie miała dość siły, aby swoje znaczenie opowiedzieć sercu twojemu.

— Zatrważasz mię.

— Słuchaj, kochana mamo! Największem niebezpieczeństwem, grożącem dzieciom twoim, to brak serca miłością matki natchnionego. Przebacz mi matko droga, te grzeszne zapewne słowa, z ust twojej córki płynące, ale gwałtowna potrzeba opieki i zaufania; potrzeba tego macierzyńskiego stosunku, w obec którego żadnej nie powinno być tajemnicy, ta potrzeba kazała mi rzucić się do nóg twoich, i żebrać całą miłością moją o litość nad dziećmi twemi; żebrać, abyś nas nie odpychała ze wzgardą obojętności twojej od siebie, żebrać o tę, od Boga wyznaczoną dla nas opiekę, bez której źle nam, o! okropnie źle na tej ziemi. Matko! wysłuchaj zaklęcia nieszczęśliwej a kochającej cię córki, wysłuchaj jej gorącej modlitwy, którą do ciebie z gorzkiego zanosi serca — wysłuchaj i podaj mi rękę swoją, bym w dniach żałoby i smutku nie płakała jeszcze łzami sieroty....

Łzy przerwały jej słowa. Pani Sędzimirska uczuła wielką trwogę w swem sercu. Głos jej własnego dziecka, takiem uczuciem i takim rozumem podyktowany, wydał się jej głosem anioła stróża, do jej sumienia przemawiającym z wyrzutem. Zatrwożyła się biedna i niedołężna matka, lecz ta trwoga była już niezawodnym jej poprawy początkiem. Zosia płakała ciągle. Łzy córki jak dobre ziarno padały na zagłuszone serce matki, i w niem nieznane dotąd wyradzały plony.

— Przestań drogie moje dziecie—mówiła już ze łzami w oczach matka — przestań te bolesne skargi szerzyć przedemną. Bóg dobry wysłucha prośby twojej... Ja ci twoje wyrzuty przebaczam, bo czuję — teraz — dziś po pierwszy raz czuję, niestety! że one są sprawiedliwe. Ja nie umiałam dla was być matką.

Po tak szczęśliwie rozpoczętej scenie, rozmowa szła dalej pomyślnie. Spojrzał zapewne Bóg sam w szlachetne serca dzieci, i nie dozwolił im doznawać okropnej niedoli sierót.

(C. d. n.)

LISTY FIZYKALNE,

przez

Dra Feliksa Strzeleckiego.

(Zob. Nr 14, 16, 21 i 22).

List czwarty.

O ciężkości.

(Ciąg dalszy).

Gdy przeszkoda jaka nie dozwala ciału spadać do ziemi, natenczas, jak to już w poprzedzającym liście pisałem, wywiera ciało pewne ciśnienie na podstawę swoją; lub pewne ciągnienie tej rzeczy, na której wisi. Wielkość ciśnienia lub ciągnienia tego nazywamy *ciężarem* ciała.

Ponieważ każda cząstka materyalna jest ciężką, zatem każda pewien ciężar posiada, więc będzie ciężar ciała tem większy, im to z więcej cząstek materyalnych się składa. Ilość cząstek materyalnych, w ciele się znajdujących, zowie się *masą* ciała. Im większy przeto ciężar ciała, tem więcej ciało posiada masy. Dla tego podług ciężaru ciał osądzamy wielkość ich masy, będąc pewnymi, że im większy ciężar np. mięsa, kawy, cukru, tem większa ich masa.

Ale przyroda ciał, tj. ta okoliczność, czy które jest np. złotem czy wodą, nie ma żadnego wpływu na wielkość ciężaru jego, tak, że dwa ciała, choćby niewiedzieć jak różnorodne np. żelazo i papier, gdy tylko jednakowe mają masy, równe ciężary posiadają. O tem przekonywa nas to doświadczenie, że dwa ciała różnej przyrody jednakowego potrzebują czasu, by z równej wysokości upaść na tę samą podstawę, gdy tylko nie doznają żadnych przeszkód w tem padaniu, lub gdy przeszkody te są nieznaczne. Gdy ciała te spadają w powietrzu, nie zrobimy wprawdzie spostrzeżenia tego: spuszczając np. kulkę ołowianą i piórko naraz z jednego miejsca, zobaczymy, że kulka pierwej spadnie na ziemię niż piórko. Przyczyną tego jest opór, jaki stawia powietrze, a który dla piórka jest znaczniejszy, niż dla kulki ołowianej. Robiąc atoli doświadczenia te w szklannej rurce szerokiej a długiej, z której pompą pneumatyczną wypompowano powietrze, przekonamy się, że każde dwa ciała razem puszczone, razem na dno padną. Doświadczenie to poucza nas, że ciężar ciała niezawisły jest od przyrody jego, bo gdyby jedno z tych ciał większy miało ciężar, niż to ilości masy jego odpowiada, musiałoby prędzej upaść na dno rurki. Ciężkość tedy, tj. dążność do spadania ku ziemi, posiadają wszystkie ciała w równym stopniu; ciężar zaś jakiegoś ciała tj. wielkość ciśnienia na podstawę w skutek ciężkości, zależy od ilości masy ciała.

Ażeby wymierzyć ciężar jakiego ciała, używamy rozmaitych miar. Zwykłą u nas miarą ciężarów jest funt (wiedeński, polski), który ma w sobie 32 łuty, a łut 240 granów.

Większą miarą jest centnar równający się 100 funtom. Francuzi biorą za miarę ciężarów gram. Jest to ciężar jednego centimetra sześciennego wody czystej w stanie najgęstszym, i wyrównywa blisko 14 granom wiedeńskim. Dziesiąta część grama nazywa się decigram, setna centigram, tysiączna milligram; 10 gramów dekogram, 100 hektogram, 1000 kilogram.

Wynajdywanie ciężarów samo, tak zwane ważenie, uskuteczniamy za pomocą przyrządów, które w ogólności *wagami* nazywamy. Najważniejsze dla gospodyni wagi są: zwyczajna waga kupiecka i przezmian.

Waga kupiecka składa się z drążka metalowego, który belkiem wagi się zowie. W samym środku długości belka przymocowana jest do niego oś, mająca u dołu ostrze stalowe, i spoczywająca końcami swemi w dziurkach tak zwanych nożyc. Około osi tej, belek z łatwością powinien się módz obracać; dla tego dolna część nożyc, w której owe dziurki się znajdują, także powinna być ze stali. Ażeby dokładnie rozpoznać każdorazowe położenie belka, osadzony jest na nim i to w środku długości jego języczek, który jest prostopadły do długości belka, a w środku zgięcia nożyc pionowo nad osią belka znajduje się ćwieczek. Gdy tedy koniec górny języczka leży pionowo pod ćwioczkiem, to będzie języczek stać pionowo, a przeto belek poziomo. Na obydwóch końcach belka wiszą na sznureczkach talerzyki, w które wkładają się te ciała, których ciężary mają być z sobą porównane. Obydwie części belka: od punktów, w których talerzyki są zawieszone, do osi, nazywają się ramionami belka.

Waga powinna być tak urządzona, żeby obydwa ramiona belka były zupełnie jednakowo ukształcone, miały zatem i długości i ciężary równe, i żeby talerzyki wraz z sznureczkami także równe miały ciężary. Przy takiem bowiem urządzeniu, belek w poziomem położeniu zostawać będzie w równowadze, ponieważ z przyczyny równego urządzenia wagi po obydwóch stronach osi, dążność obracania wagi w jednym kierunku, jaką wywiera jedno ramie wraz z talerzykiem na niem wiszącym, zniesioną będzie dążnością obracania wagi w przeciwnym kierunku, którą wywiera drugie ramie z drugim talerzykiem. Przytem powinien punkt ciężkości całego belka z talerzykami leżeć pionowo pod osią, ażeby belek, gdy się go wychyli z położenia poziomego, sam znowu do niego powracał. Położenie to poziome zatrzyma belek i wtenczas, gdy na talerzyki równe ciężary położymy; przybędą bowiem siły, które znowu równe dążności objawiać będą obracania belka w przeciwnych kierunkach. Położywszy tedy na jeden talerzyk wagi dobrze urządzonej, ciało odważyć się mające, a dokładając na drugim znajome ciężarki (funty, luty itd.) tak długo, aż belek przyjdzie w położenie poziome, ciężar szukany będzie równy ciężarkom w drugim talerzyku leżącym.

Poznawszy dokładnie opisane wyżej własności dobrej wagi, wytłómaczysz sobie z łatwością, dla czego przy próbowaniu wagi, czy ma te własności, co np. kupując sobie wagę uczynić wypada, sprawdzić będzie potrzeba następujące okoliczności: Belek wagi powinien być łatwo obracalny około swej osi, co nigdyby nie nastąpiło, gdyby oś ta lub podkładki jej były zardzewiałe. Belek ten powinien poziomo zostawać w równowadze, gdy talerzyki są próżne, równie jak gdy talerzyki z niego zdejmiemy lub je przemienimy, tj. talerzyk jednego ramienia zawiesimy na drugiem i odwrotnie. Najkrótszą jednak i najpraktyczniejszą próbą będzie kłaść na talerzyki rozmaite równe ciężary np. po 8, 16, 32 i t. d. łutów, i uważać, czy zawsze belek w poziom się układa, co nastąpić powinno równie w ciepłem jak zimnem miejscu.

Lecz i niezbyt dobrą wagą można dokładnie zważyć ciało, postępując sposobem, który podał Borda, a który *ważeniem podwójnem* się zowie. Wykonywa ono się jak następuje: Na jeden talerzyk kładzie się ciało, które zważyć mamy, a na drugi tara tj. jakiekolwiek drobne ciała, np. ziarnka fasoli, granatki itp. dopóty, aż belek zajmie położenie poziome. Przytrzymawszy belek w tem położeniu, zdejmuje się ciało, ważyć się mające, a na jego miejsce kładzie się znajome ciężarki w takiej ilości, ażeby... przy niezmienionej tarze... belek znowu powrócił do położenia poziomego. Ponieważ te, na miejscu ciała, położone ciężarki wywierają takie same ciśnienie, jak owe ciało, przeto przedstawiają ciężar ciała.

(C. d. n.)

O WARYATACH PRYWATNYCH.

Przez **Fr. W.**

Jak się ma adwokat pokątny do publicznego, jak pokątny lekarz (partacz) do medycyny doktora, tak się ma waryat prywatny do waryata publicznego, do tego, który przez całą publiczność jest za waryata uznanym i za kratami osadzonym.

Jak ów pisarz pokątny, choć bez patentu, niejedną wygrywa sprawę, a i jak lekarz partacz nie raz uleczy chorego — tak też i waryat prywatny może częstokroć dokonać czynów, których nie powstydziłby się żaden z kolegów jego za silnemi kratami. — Rozum ludzki wyobrażam sobie jakby klawiaturę w fortepianie. Niechaj instrument w dobrym będzie stanie i dokładnie do ogólnego nastrojonym kamertonu, a i tony w nim będą miłe, pewne, zgodną wydające harmonią.

Niechajże przeciwnie struny pofolgują, klawisze popękają, i rozstrój nastąpi zupełny, a natychmiast rozbije się harmonia, słuch nasz za dotknięciem dozna nieprzyjemnego rozdarcia, jakby od kociej muzyki, porzucimy instrument rozstrojony, nieudolny..... wyrzucimy go z domu. Nieraz rozstrój kompletny, nieraz popsucie wszystkich mózgowych klepek odbywa się w głowie człowieka obłąkanego, którego pod nazwą waryata nietylko unikamy, ale jako niezdolnego lub szkodliwego wykonywać funkcyj społecznych z towarzystwa ludzkiego wykluczamy.

U waryata prywatnego popsuły się zaś tylko niektóre klawisze, pofolgowały niektóre struny—obok największego rozdźwięku, są tam jeszcze nienaruszone, a więc jeszcze zdrowy ton wydają, a ktokolwiek się obezna z niemi, może nawet zagrać mniejszą jakową sztuczkę nie wymagającą poruszenia całej klawiatury.

Ileż to razy daje nam się słyszyć o kimś: „dobry człowiek ale dziwak“, „uszedłby ale ma bzika“ „ma zajączki“ lub t. p. otóż owe dziwactwa, bziki, zajączki, nie są czem innem tylko popsutemi niektóremi klawiszami, czyli jak to mówią klepkami w mózgownicy jegomości dobrodzieja — im więcej takich popsutych klawiszów, im więcej strun popękanych, tem bliżej waryatowi prywatnemu do czubków, tem też nieznośniejszym będzie on w pożyciu, a niekiedy zgoła niebezpieczniejszym od zakratowych kolegów swoich, boć nie pozbawiony praw obywatelskich — owemi kilkoma zdrowemi klepkami, które mu pozostały, chciałby wykonywać wszelakie funkcye, do których wszystkich potrzeba zdrowych zmysłów, a które częstokroć nie wystarczają. Przypuściwszy, że osoba taka zechce się bawić w politykę lub w religijną propagandę, a do tego, zbiegiem okoliczności lub na mocy przywileju urodzenia, wyższe zajmuje stanowisko, to już oddaj się Bogu! Przekonany jestem, iż większa część okropności i zbrodni, tak despotyzmu i inkwizycyi świętej, jak rewolucyjnych konwentów, nie w innem lecz w tem źródle miała początek. — Wszelki bowiem ślepy fanatyzm wynikiem jest tylko choroby umysłowej.— Waryat prywatny, pospolite zajmujący stanowisko, jakkolwiek niemniej nieznośnym i niebezpiecznym bywa dla tych, co go bliżej otaczają lub co gorsza od niego zależą, dla reszty obojętnych widzów bywa niekiedy zabawą, niby błaznem na żydowskiem weselu; tysiączne krążą o nim anegdoty, powtarzają jego słowa, kobiety bawią się nim jak pudlem, lub orangutanem; mężczyźni zgrywają go w karty, żyją jego kosztem, każdej chwili gotowi wyprzeć się jego znajomości i podeptać go nogami. — Ile tylko mieści się w ludzkich sercach i mózgownicach zarodów wad albo cnót społecznych, niemal tyle mieści się odcieni waryatów prywatnych.

W tejże samej liczbie są skąpcy, marnotrawcy, świętoszki, ateusze, lekkoduchy, mizantropi, czerwoni, arystokraci, i ktôżby ich zresztą wyliczył!— Gdyby wszystko to do kupy pozganiać, natenczas nie gmachy ex-Pijarów lub Bonifratrów możnaby niemi napełnić, ale z jakich kilka mil kraju wypadałoby pokryć dachem, a kto wie, czy i toby się nie opłaciło? chociażby z tego względu, że nie brużdziliby oni w pośród zdrowego społeczeństwa?

Kto kiedykolwiek miał sposobność zwiedzać domy obłąkanych, i widział tam owe godne pożałowania istoty, jak — nie mówiąc już o furyatach — jedni wyobrażają sobie jakoby byli hetmanami, królami lub biskupami, inni udają milionowych panów, deklamują wiersze, układają dramata lub systemata filozoficzne i polityczne; — kto przypatrzył się temu, a wyszedłszy na ulicę spotkał nie jednego ze swoich znajomych, który nosi w sobie zarody podobnych wyobrażeń, nie dających się w żaden sposób pogodzić ani z położeniem, ani z zdolnościami, ani z usposobieniem jego: Ten patrząc z zimnym rozsądkiem na owo ludzkie mrowisko, widząc tyle niestósownych zabiegów, nienasyconych chęci, pretensyi, ambicyj, niedających się niczem usprawiedliwić, i tyle przy tem śmieszności i błazeństwa, ten mówię, nie może sobie zdać sprawy nareszcie: dla czego, gdy tamtych strzegą, i zamykają, tym zostawiają wolność bałamucenia i zawadzania na tym Bożym świecie? a jeżeli widok obłąkanych u Bonifratrów do litości nas pobudza, to widok waryatów prywatnych sprawia w nas oburzenie, i drażni nam nerwy, jak gra na fałszywym i popsutym instrumencie.

Załączamy mody paryskie dla prenumerujących na nie.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**